



SARNIE SNY

CZYLI KOLEJNA GALERIA
KOSZMARÓW FERANOSA



www.mglawicasow.pl

Wydawnictwo: Mgławica Sów

Autor: Feranos

Pierwsza redakcja: Adriana Łączyńska

Druga redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Piotr Sobolewski

Łamanie i skład: Anna Miramari Gross

Ilustracja: Dawid Boldys, Shred Perspectives Works

Opracowanie graficzne: Anna Miramari Gross

Copyright © 2026 feranos

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2026

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-68713-01-5



SARNIE SNY

CZYLI KOLEJNA GALERIA
KOSZMARÓW FERANOSĄ



Autorzy ilustracji:

Martyna Wiśniewska Dirty Hand Tattoo @dirty.hand.tattoo

Mister Cadaver @mistercadaver

Piotrek Rub.ink.owski @rub.ink.owski

Joannah @joannahvonfrankenstein

Meobius @_meobius

Sarna @artdraafhdeer

Szymon Stępkowski @zywy_lis

Malgorzata Warsil @warsil_malgorzata

Eryka Jura @posoka.ink

Karolina Flare.ink.jar @flare.ink.jar

Stanislav Lament - Visual Arts @stanislavlamentva

Aki @aki_pink_ink

whisperium @lucid.arise

Traupa @traupa.art

Klimkovitz @w_witrynach_horroru

Maniek Skucha @skuchatattoo

Róża Rozaxa @r.o.z.a.x.a

Justyna Bień @justynabien.2d

Dominika „DodoDan” Danieluk @dododan_canvas

Playlista Spotify:



PIEKKO

TONY



DOBRANOCKA XI

*I w Tobie cała ciemność świata.
Mrok, ból, żal i rozpacz.
Zapomnij o tym śmiechu kata.
Oczy zmruż, ciemności płacz, uchodzi lęk.
Idź już spać.*

*A co to?
Wyspa, kolejny ląd, unosi się wśród mroku.
O nie, znowu To.
W abysal wielki skok – nie miał tego skończyć?
Już wiecznie będziesz błądzić po suchym lęku doku.
Ze mną.*

*Zajęcze serce, sarnie sny. Pod płaszczem siły, męstwa.
Pył i piach, entropii kły pożądają mięsa.
Czy to sen? Bólem zdeformowana jawa?
Słyszysz płacz.*

Krwawiące łzy, płynące z Twego wnętrza.

To Ty?

To Twój płacz?

Czy płacze Twoje serce?

Rozlewa się, pęknięta skóra, rozchlastane mięśnie.

Tysiące drzazg, żywe szkło. Smród kwasu w Twoich nozdrzach.

Zabij się. Proszę, skończ to.

Zakończ już ten koszmar.

Błysk, blask, świetlisty huk. Ślepia Ci wypala.

Bębenków trzask, zrywa się, na ziemię Cię powala.

Potworne twarze się wiją, gdzieś na krawędzi drgają.

Kosmiczne oczy starych gwiazd swym czarnym ogniem rażą.

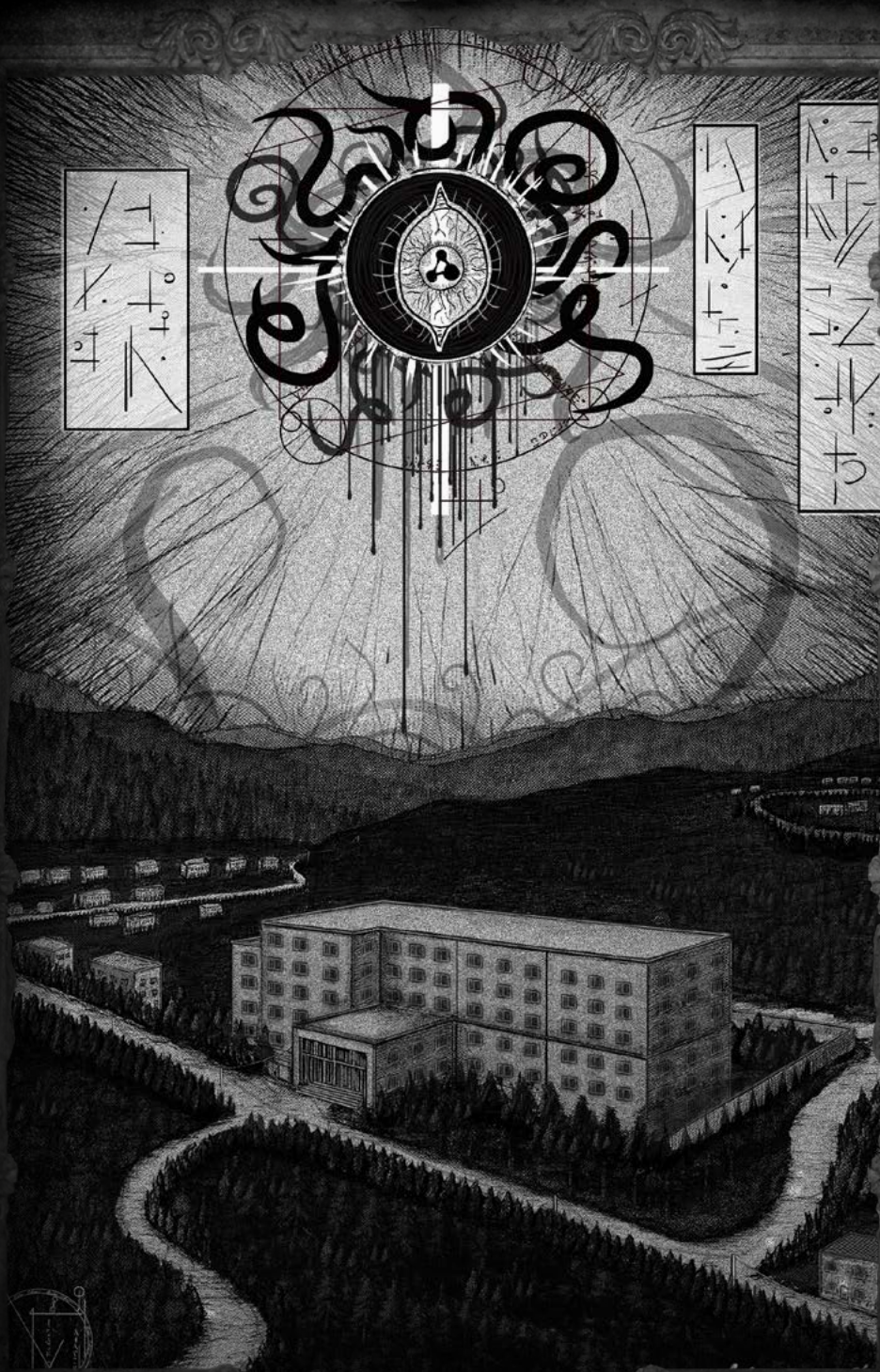
Boże, dlaczego?

*Nie słyszy Cię ten starzec – los przedwieczny.
Twarze.*

*Nie kocha Cię, gardzi Twoim życiem marnym.
Twarze szkaradne, martwe.*

*Dzieci hien cmentarnych z rozkopanych grobów.
Jak się obudzić, proszę?
Znowu czujesz drzazgi. Miliony drzazg są w żyłach.
Szkło trzaskające w skórę.
Skrzep w duszy, koagulat.*

*Milczące twarze patrzą w Twój rdzeń,
Zasiewając ziarno.
Zostawiają Cię samotnego,
Nawet w strachu,
Z losem – marność.*



DOKTOR MARIUSZ MORSZCZUK

„Wszystkie psychiatryki są ze sobą połączone jaźniami schizofreników” – powiedział mi kiedyś profesor Erchard. Dobrze się kamuflował, ale w pewnym momencie nie dawał już rady. „Piwnice psychiatryków to lochy łączące świat z piekłem”.

Tak też mówił.

Fiolet, błękit i róż tańczące wokół gigantycznego oka zanieczyszczają mi wizję. Oko wydaje się mieć rozmiar miliona słońc. Oprócz skaczących promieni nie mam żadnego punktu zaczepienia, żadnej perspektywy. Nic, tylko dojmujący, dominujący koszmar, przy którym czuję się jak pył.

Czy to sen? Majak? Omam? Wiem, że Erchard miał rację. Każdy dzień utwierdza mnie w tym przekonaniu. Miał rację – i dlatego powiesił się w dyżurce.

Po plecach przebiegają mi ciarki. Łaskoczą kręgosłup, zrywają mi z niego skórę, odstaniają nagie kości przeplatające się dyskami, nerwami, naczyniami krwionośnymi, rdzeniem. Zęby się wgryzają, zaciskają, miażdżą mnie.

Boże...

Zaciskam powieki. Oko nie znika, ból też nie. Dalej wbija we mnie swój wzrok, przebija mnie na wskroś. Obserwuje moją duszę, moje serce, moje grzechy i lęki. Pragnienia, głód i smutek. Łaknie mojego człowieczeństwa.

Jego fioletowe, falujące odpryski, płomienie, macki wirują wokół mnie, parząc swoim dotykiem. Są jak gigantyczny ukwiat tańczący na falach oceanu. A ja jestem jak błaznek... czy tam inne gównu.

Słyszę głos rozprasowujący mnie wewnątrz mojego ciała. Jest niski, niższy niż ludzki; brzmi jak komputerowy, jak głos błyskawicy, gromu:

– Wszystkie drogi prowadzą do mnie, Dariuszu.

Padam na kolana. Łapię się za głowę. To tylko złudzenie, tylko jebane złudzenie. Pamiętaj, poudziela ci się od pacjentów, oni widzą jakieś gówna, opowiadają ci o nich. To nie istnieje. To wszystko nie istnieje.

Mobilizuję całą swoją siłę i wstaję z kolan. Zaciskam zęby tak mocno, że szkliwo mi zaraz pęknie. Skruszy się, zmieni w pył, piach.

Sięgam po fiolkę, łykam jedną tabletkę **Pronowateronu**. Zapijam wódką.

– Kurwa – mówię do siebie.

Marlena patrzy na mnie. Ma smutne oczy, ale piękne, jakby lisie. Czy ona też to widzi? Czy te rzeczy ją też nawiedzają? Nie chcę o tym rozmawiać. Boję się, że tak. Wtedy okaże się, że to nie jakieś moje złudzenia i złudzenia pierdolniętych ludzi, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Boję się, że nie, że jestem taki jak wszyscy tutaj – że jestem jednym z tych pierdolniętych ludzi. Mówi się, że psychiatra od pacjentów różni się tym, że wraca na noc do domu. Ja już od dawna nie wracam.

Boję się otwierać te drzwi.

Marlena nie pyta, co jest w szklance, a raczej dlaczego woda tak wykręca mi pysk. Z czym walczyłem, co widziałem. Czy to chroniczny ból, niewyspanie czy co.

Kocham Marlenę, jest piękna, mądra, cierpliwa, wspierająca i wyrozumiała. Kocham Marlenę i żałuję, że nie żyje w świecie, w którym mógłbym ją zaprosić do kina, zabrać do klubu, postawić drinka, a potem po prostu przytulić się do niej i zasnąć, wachając jej włosy.

Jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony. Może byłoby lepiej, gdybym się wyspał? Ale jak tu spać, kiedy demony chodzą pośród żywych?

Słyszę głos dobiegający z korytarza:

– Boże! Jezusie Pierwszy i Jezusie Drugi! Dobij mnie swoim płomieniem! Trójco zrodzona z Dziewicy, spal mnie żywcem! Boże! Zmiażdż mnie piorunem! Panie, tutaj jestem!

To Bala – tak ją nazywamy. Nie wiemy, kim jest, po prostu się tu znalazła. Nie ma nawet karty wpisu. Czy przyszła i zgubiliśmy dokumenty? Czy urodziła ją nicość? Czy jest dzieckiem zbiorowego szaleństwa tego miejsca? Kto wie.

Wydaje się, że jest tu od zawsze, ale mnie też się wydaje, że jestem tu od zawsze. Inny świat nigdy nie istniał. Miałem kiedyś matkę, ojca, nawet żonę, wydaje mi się, że również i dwie córki. Do tego dwa koty, ale to wszystko jakby wspomnienia. Ciekawostki ubarwiające historie postaci zrodzonej przez żal tego miejsca.

Nie wiem, kim jestem. Może trafiłem tu jako pensjonariusz, ale przeciwni szaleństwa – te w oknach rzeczywistości, które prowadzą do tych piekieł, a które zostały wyśnione przez wariatów – pozmieniały nam świadomość? Może jestem mózgiem Boltzmanna w słoiku wyrwanym przez czarną dziurę, zgodnie z teorią promieniowania Hawkinga, i to wszystko to tylko złudzenie?

– Sprawdzisz, co z nim? – pytam Marlenę, która wytania się z chaosu nakładających się rzeczywistości.

Są tu inni ludzie, ale Marlena wydaje się być od zawsze. Podejrzewam, że też jest więźniem tego miejsca. Może tu w ogóle nie ma czasu? A może to po prostu kurewsko długi poniedziałek?

Patrzę na wypalony nad drzwiami czarny ślad w kształcie krzyża. Kiedyś wszędzie tu wisały krzyże, ale potem się rozpuły. Rozpuściły, zmieniły w płyn, rtęć. Skapywały na ziemię, zostawiając czarne ślady, aż w końcu zniknęły. To było jeszcze przed remontem. Kurwa, remont! Kiedy to było? Dlaczego widzę ten czarny ślad? On się jakoś przeżarł przez te farby?

Mrugam. Znika. I nigdy go nie było – ani remontu, ani śladu krzyża.

– Tak. – Marlena znów kiwa głową.

Przez jedną chwilę, przez jedno uderzenie serca widzę, jak jej ciało się rozpada. Obłazą ją tysiące larw, tysiące czerwi. Patrzą na mnie glisty jej zgniłych oczu, wpatrują się we mnie tasie mce uśmiechów. Mrugam, a ona znika jak te wypalone krzyże. Tylko to cholerne oko nie znika. Czuję, że mnie obserwuje. Wisi gdzieś za moimi plecami. Teraz jest gdzieś daleko... ale czuję je. Jest tu, wisi, czeka.

Chemia w moich żyłach je blokuje, ale to tylko chwila. Ono nigdy nie odchodzi. Czuję je nawet wtedy, gdy znika. Uderza, szturmuję swoimi mackami-parzydełkami miękkie ściany tego świata, rozpycha się przez okna śnione przez lunatyków tego azylu.

Wychodzi na to, że jestem ich strażnikiem.

Idę tuż za Marleną, ona skręca w prawo, ja też skręcam w prawo, a powinienem w lewo. Obserwuję ją, jak idzie wzdłuż korytarza. Jej kroki odbijają się echem od pustych ścian, ciszę mąci tylko rytmiczny stukot niskich obcasów.

Jestem zmęczony. Mrugam. Paniczne krzyki, błagalne wycia, desperackie wyzwiska. Tysiące rąk wystających przez

kraty, powykrzywianych, zdeformowanych, błagających o uwagę, o spokój, o życie, zdrowie lub śmierć.

Śmierć.

Rzeki czarnej lawy spływają pionowo, rosząc rdzawą mgłę. Białe światło jak serce słońca rzuca dziwną łunę na korytarz wypełniony erodującymi duszami, przykutymi łańcuchami do ziemi. Paniczne krzyki, błagalne wycie, desperacja – tylko to zostało w tych lochach na dnie świata.

Naciskam na klamkę, wchodzę do łazienki. Czarne glyfy walczą o dominację z seledynowymi wzorami. Świecą trupim światłem, rzucają pustą poświatę, która zostawia powidoki.

Mrugam. Opieram się dłońmi o zlew i patrzę w lustro. Nie wyglądam jak ja, ale to nie szkodzi. Uspokajam kołaczące serce. Nie chodzi o to, że się postarzałem albo dawno nie goliłem – po prostu nie wiem, jak wyglądam. Nie pamiętam, jak wyglądałem przed trafieniem tutaj. Dostownie się zgubiłem, zgubiłem samego siebie w odbiciu lustra... o ile kiedykolwiek w ogóle istniałem.

Poczucie bycia w nie swoim ciele zawsze wywołuje lekką panikę, dyskomfort. Dysocjacja, fantomowa eksterioryzacja, astralna autoalienacja połączona z doświadczeniem poza ciałem.

Wdech, wydech.

Opłukuję twarz krwią płynącą z kranu. Jest nieco żrąca, jakby kwaśna, ale nie szkodzi. Wiem, że to woda... Nie, inaczej: nie mogę uwierzyć, że to nie woda. Przez „nie mogę” nie mam na myśli „nie jestem w stanie”, po prostu „nie mogę sobie pozwolić”. Nie mogę uwierzyć w nic, co widzę, co czuję, co słyszę. Nie mogę ufać swoim zmysłom. Muszę ufać łańcuchom prawdopodobieństwa.

A jakie jest prawdopodobieństwo, że to się rzeczywiście dzieje? Że tysiące piekieł nachodzą tu na siebie, że królestwo pleśni i kości, inferno światła upadłych, że koszmarnie pustynie lamentujących potępionych są naprawdę, że istnieją? Gdzieś tam, walczą o dominację nad umysłami ludzkości.

Wcieram wodę w pory mojej skóry. Raz, drugi, trzeci. Zakręcam kran. Moja twarz w lustrze wykrzywia się, ale tym razem jest to spójne z moim odczuciem.

Nogi pode mną się uginają. Płaczę. Opieram głowę o syfon, siadam na ujebanych kafelkach. Początkowo jedna łza, potem druga, w końcu trzecia. Łkam, ale szybko zaczynam wyć. Dołączam do szalonego chóru wyjców z korytarza.

Mam nadzieję, że Marlena tego nie słyszy. Jej siła trzyma mnie w ryzach, w całości. Nie zabiłem się... Podejrzewam, że moja siła trzyma ją w ryzach. Uderzam potylicą w ścianę, walę nią raz za razem, żeby się wyżyć, żeby coś poczuć. To reakcja na chroniczny stres, wyrzut adrenaliny. Tonę w kortyzolu. Niedługo mój układ przywspółczulny zredukuje się i zniknie, podobnie jak ludziom w czasie ewolucji zniknął ogon.

Tupię, walę głową, jakbym miał atak padaczki. Moje myśli są... spokojne, statyczne. Moje ciało po prostu eksploduje jak zsynchronizowane ładunki nuklearne, jak supernowa, seria za serią.

Łup! Łup! Łup! Łup!

Kafelki odbijają się od mojej potylicy.

Łup! Łup! Łup! Łup!

Zostawiam na glazurze swój materiał genetyczny.

Łup!

– Kurrwwaaa!

Słyszę swój głos. Otwieram oczy i widzę siebie kucającego przed sobą.

– Wstawaj, obudź się. – Przede mną twarz, krew spływa po policzku. Powycinane w trójkąty kawałki skóry spływają jak ser z pizzy przybitej gwoździem do kafelkowej ściany. Jest jak moja dusza przybita prętem do serca.

– Nie możesz się poddać. Nie możesz ze sobą skończyć. Jesteś ich bohaterem. Przedmurzem. – Jego twarz się rozmywa. Bulgocze jak ciepły budyń z rozgotowanych zwłok, jak paczka po chipsach na grillu.

– Wstawaj, kurwa, Darek! – Uderza mnie w twarz „z dziwki”, tak się kiedyś mówiło. Dłoń jest jak mokry ślędz, ale tutaj jębie pleśnią i rozkładem.

Przecieram zamknięte oczy, wstaję. Nachylam się w stronę lustra. Twarz, którą widzę, nie jest ani tą, ani tamtą, którą widziałem przed chwilą. Jest jeszcze inna.

Ja pierdolę, kurwa mać!

Zamykam oczy, zaciskam tak, że powieki aż trzeszczą. W oddali widzę czające się niebieskie światło. Lekko różowe, lekko fioletowe. To barwy abysalu.

Kurwo, widzę cię!

Otwieram oczy. Wszystko wydaje się normalne. Przemywam twarz zimną wodą. Jest cała napuchnięta. Nie mogę pokazać, że płakałem. Patrzę sobie w oczy odbite w lustrze.

– Jesteś silnym mężczyzną. Jesteś atlasem. Rzeczywistość nie jest tym, czym się wydaje, ale to dobrze, znasz prawdę – mówi nie moja twarz moim głosem.

– Prawda jest taka, że w tym piekle nie ma rzeczywistości – mówi stojący za mną człowiek, nazywa się Tymon. Chyba Tymon. Tymon jakiś tam...

Jakby w odpowiedzi na moje myśli odzywa się duch policjanta, który kiedyś tu był:

– Kilian.

Duch? Co to w ogóle znaczy „duch”?

– Pani czerni i fioleto mnie stąd wyprowadziła. Wyszedłem – kontynuuję.

Słyszę głos, ale za mną nikogo nie ma. Nie stoi za mną żadna postać, ale jarzeniówki migają.

– Zabiłem cię. Umarłeś.

– Może to ja jestem tym policjantem? – mówi odbicie w lustrze. – Dlatego nie poznaję swojego ciała.

Wdech. Światło, ale nie takie dostowne. Metaforyczne, jakbym otworzył oczy. Patrzę na siebie w lustrze i wzdycham:

– Huh. Leki weszły.

Powieki nadal są napuchnięte, ale już nie aż tak. Przemywam twarz, potem znowu i znowu. Uśmiejam się do lustra. Powinienem pójść do barbera albo chociaż się ogolić.

No dobra, teraz wyglądam na zmęczonego. Boże, wciąż jestem zmęczony, ale już nie tak, jakbym był pod zlewem.

Ktoś wyszedł? Ogarnię mnie poczucie czyjegoś braku. Ktoś nagle zniknął, jakiś człowiek, który tu przed chwilą był. Ktoś tu był? Rozglądam się. Dwa zlewy, kabina prysznicowa, dwie kabiny z kiblami. Patrzę. Jeden wolny. Drugi? Drugi chyba też.

No dobra. Niby wiem, że tego nie ma, ale zawsze czuję, że powinienem sprawdzić. Kręcę chwilę głową, jakbym nią trząsł. Wspominali nam o tym na studiach. Gdy psy chcą pozbyć się stresu, otrzepują się – machają głową, ogonem, całym ciałem – jakby chciały usunąć stres niczym wodę z sierści. Kręcę głową i staram się też kręcić plecami. Wyobrażam sobie małe, czarne plamki stresu, spadające ze mnie wszędzie dookoła.

Dobra, jestem gotów leczyć ludzi. Uśmiech. Wychodzę z łazienki.

– O, pan doktor! – Iza się uśmiecha. – Znowu tak wcześniej? Czy pan w ogóle wychodzi do domu?

Jest młoda, choć nie tak ładna jak Marlena. No i pewnie ma dom. Miła, spokojna, uczynna. Czasem mi jej szkoda, ale chociaż pewnie ma dom. Przyszła tu pomagać ludziom – każdy jest ważny, każdy jest istotny. Każdy człowiek to kolejne indywidualne cierpienie, indywidualny ból; terapia, pomoc. Historia, rodzina, matka; piękne wspomnienia, złe wspomnienia; zapach chleba, pierwsza miłość, choinka na święta. Inna wizja Boga i Szatana.

Cztery trupy – albo odejdzie, albo jej wzrok stanie się mętny i uważny. Słuchając dalej, będzie patrzeć w oczy, ale jej uwaga skupi się na rękach – czy nie ma tam noża, ostrza, gwoźdźcia, sznurka czy zapalniczki. Będzie miała wzrok jak Marlena.

Nie wiem, jak wygląda mój, ale ten Marleny wygląda, jakby była świadkiem Holocaustu i Hiroszimy.

– Tak – odpowiadam, bo to najnormalniejsza odpowiedź na to pytanie. Potem się uśmiewam. – A ty? Jak tam u ciebie? Wszystko w porządku?

Dystrakcja. Opowiedz mi o sobie. Czuję, jak kropla spływa mi po policzku. Czy to kropla wody z kranu? Kropla mojego potu? A może krew z tego pierdolonego zlewu? Nie no, to przecież były przewidzenia – nic takiego nie ma. Nie było.

– Wszystko dobrze, Daniel już czuje się lepiej. Dziękuję, doktorze.

Kurwa. Ten błękit! Widzę go, czuję. Unosi się tuż na granicy pola widzenia, jak męty ciała szklistego – nie mogę na nie spojrzeć, ale wiem, że cały czas są.

Uśmiewam się do niej.

– To świetnie! Bardzo się cieszę! – Mam ochotę ją objąć albo chociaż pogłaskać po głowie, ale w dzisiejszych czasach to mogłoby zostać źle odebrane, a chcę jej wyrazić aprobatę, przekazać ciepło, ale nie chcę mówić, myśleć, analizować. Chcę po prostu dać jej znać, że chcę dobrze, w sposób jak najmniej angażujący mój mózg, bez bólu głowy, bez myślenia, kim jest, kurwa, Daniel.

– A u pana, doktorze? Wszystko w porządku?

Dom. Czym jest dom? Czy tylko ciepłem, schronieniem przed zimnem? Czy aż ciepłem – żarem wspomnień, gorącym emocji? Miejscem, w którym zaznajesz spokoju, odnajdujesz swoją miłość na kanapie, czytającą w blasku świec, chuj wie po co, ale przynajmniej są zapachowe, pod pluszowym kocem, gdy dziadek mróz zostawia na szybach swoje białe graffiti.

– Wszystko w porządku, oczywiście. – Uśmiewam się. Ta Iza to taka dobra dziewczyna.

– A jak Angelika?

Jej twarz przybiera demoniczny kształt. Rozpływa się, a czarne kreski wyrywają się spod skóry, niosąc na sobie

krwawe światło. Wszystko zmienia się w płyn, żel, budyń. Żuchwa spływa, obracając się wokół kręgosłupa. Jest zgięta w tył, jest naga. Widzę, jak pokazuje na ścianę, na znaczek drzewa z wpisanym pentagramem. Jej wzrok pada na napis „ONA”, napisany jej własną krwią. Rozszarpana krtań zroszona krwawą pulpą.

– Kto? – pytam, łapiąc się za głowę.

To nic. Nic się nie dzieje. Jestem po prostu zmęczony. Tak bardzo zmęczony.

– Pana żona.

Szukam w głowie jakiegokolwiek wspomnienia, ale nie mogę znaleźć. Serce mi kołacze. Korytarz w mojej głowie przekręca się, jakby grawitacja się zmieniła. Do oczu napływają łzy. Wdech rezonuje w klatce piersiowej atakiem paniki – spłyca się, przyspiesza. Jarzeniówki na suficie korytarza się rozmywają.

– Ach, oczywiście! – odpowiadam, uśmiechając się. – Wszystko u niej dobrze. Dziękuję, Iza, jesteś dobrą osobą. Póki co lecę, dobra? Sprawdzę, jak tam Marlena radzi sobie z Bałą, potem idę na obchód. Możesz zebrać jakieś podsumowanie, sprawdzić, czy wszystko dobrze?

– Oczywiście, panie doktorze. – Uśmiecha się, choć słabo. Nie jest radosna, jest raczej, kurwa, przerażona. Widzi mój strach. Czuje jego zapach.

Idę korytarzem. Co ja właściwie do niej powiedziałem? Zaraz trzeba zrobić obchód. Jakie podsumowanie? To nie Amazon ani inne korpogówno.

Staram się nie myśleć o Angelice. Nie koncentrować się na stresorze, to nie jest terapia behawioralno-poznawcza. Nie siedzę sobie na kozetce w bezpiecznym gabinecie. Teraz trzeba zapomnieć o stresorze. Są priorytety, a to ten najważniejszy.

Ile widzę jarzeniówek? Raz, dwa, trzy, cztery, siedem, dwanaście... trzynasta nade mną. Ile widzę abysalnych

oczu wpatrujących się we mnie z dna wszechświata? Jedno. Sześćset dwadzieścia pięć drzwi przede mną. Cztery miliardy schodów na parter.

Dobra, przeszło mi. Skręcam w lewo, wchodzę do pokoju Bali. Widzę Marlenę.

– Zesrała się – oznajmia. – Znowu trzeba będzie posprzątać, ale żyje. Nie zabiła się.

Patrzę na smutną, starą kobietę leżącą we własnych fekaliach. Co chwilę mamrocze o apokalipsach, Jezusach, morderstwach, śmierciach. O jakichś alchemicznych wywarach w świecie po świecie. W tych majakach wydaje jej się, że jest mężczyzną.

Mówi o strasznych czynach, których dopuściła się w innym świecie. O tym, że została tu zesłana za karę, żeby cierpieć swoje męki przez wieczność. Niekiedy jej wierzę. Mam wtedy wrażenie, wszyscy jesteśmy tu za karę. Wiem, że kiedyś chyba była jakąś poetką, przynajmniej tak mówi.

Wchodzę do środka.

– Wezwać kogoś? – pytam, w końcu mycie pacjentów nie leży w jej zakresie obowiązków.

– Nie, sama to ogarnę. Dziękuję – mówi, odwracając się do mnie. Uśmiecha się. Ma takie piękne, lisie oczy. Jest aniołem tego miejsca. Za jakie grzechy tu trafiła?

– Panie doktorze, jesteśmy gotowi do obchodu? – pyta Iza, wchodząc.

Czy ona powiedziała: „Jesteśmy gotowi do obchodu przez piekło?”.

– Przez co? – pytam.

– Nic nie mówiłam.

Chyba... Chyba rzeczywiście tak nie mówiła.

– Oczywiście. – Nie patrzę jej w twarz, unikam jej wzroku. To Marlenie ufam, wszak jesteśmy jak załoga czołgu: zamknięci w jebanej czarnej puszczy sunącej przez ogień, mający tylko siebie.

Iza chce już wyjść, ale się waha, po czym pyta:

– Marlena, pomóc ci? Może wezwać panią Renatkę?

– Dam sobie radę – odpowiadają zimne, niebieskie oczy Marleny.

– Dobra, to Bałę mamy odhaczoną. Silny atak psychotyczny, defekacja, krzyki. Zrobiła sobie coś? – pytam, żeby wiedzieć, co wpisać w kartę. Skąd ona się wzięła? Skąd ja mam ją w rękach? Palce mi drętwieją, trzęsą się.

– Biła się po głowie. Żadnych ran. – Marlena sprząta gównem z podłogi.

Zapisuję.

– Jest na kłozapinie. Bierze już jakiś czas, ale wciąż zbyt krótko, żeby ocenić, czy pomaga, czy nie. Ataki ma średnio dwa razy w tygodniu. No cóż, nadal obserwować; sprawdzimy z notatek, czy jest rzadziej czy częściej. Był z nią kontakt?

– Nie, zero – odpowiada recytuje Marlena.

– Obserwować. – To pewnie brzmi jak żart, ale nic innego nie mogę zrobić. – Chodźmy do jedyńki – mówię, patrząc na Izę.

– Tak jest, panie doktorze. – Robi krok w moim kierunku, jakby ustawiała się za mną w kolejce. Idzie jak małe kaczątko za mamą kaczką.

Docieramy do schodów.

– Pani Renatko! – krzyczy Iza. – Mogłaby pani pomóc Marlenie w szóstce?

Dostłownie widzę oczami wyobraźni, jak Marlena przewraca oczami.

– Już, już! – odpowiada pani Renatka. Ma groźną minę. Wygląda, jakby nienawidziła nas wszystkich, choć odpowiada miło.

Jest jednym z mebli tego miejsca. Chyba nigdy z nią nie rozmawiałem. Czy ma dom? Co robi w wolnym czasie? Co kocha? Co lubi? Jest jak ludzka Roomba. Nie widziałem, żeby z kimkolwiek rozmawiała, żeby

cokolwiek jadła, żeby była w toalecie innej niż ta, w której trzyma akcesoria do sprzątanania.

Idziemy do pokoju, wchodzimy.

– Andrzej Krawiec – mówię, patrząc na mężczyznę.

Ten siedzi tyłem do nas, patrzy przez okno. Został przyjęty jakieś cztery miesiące temu. Siedział na przystanku, patrzył przed siebie. Minął dzień, potem noc. Policja mówiła, że zobaczyli go na kamerach. Wysiadł z autobusu, usiadł na ławce pod wiatą. Zaczął się gapić przed siebie – tak siedział i po prostu się gapił. Nie ma z nim kontaktu. Nie rozmawia, nie krzyczy. Neurologicznie wszystko w porządku, żadnych zmian. Po prostu wyjebało mu dysk twardy czy co tam. Permanentny *Blue Screen of Death*.

– Stolec był? – Rozglądam się po pomieszczeniu jakbym szukał go na ścianach

– Nie czuję – odpowiada Iza.

– Może sprawdzimy mu temperaturę? – Przy takich przypadkach czuję się, jakbym był tu pierwszy dzień.

– W normie.

– Jakiś kontakt?

– Nie. – Iza macha mu dłonią przed twarzą. – Żadnego.

– Żrenice?

– Funkcjonują. – Świeci mu latarką po oczach.

– Lorazepam gównie daje. Myślę, że czas na kolejne elektrowstrząsy.

Iza patrzy na mnie smutno. Jej wzrok mówi: „Na pewno? Przecież poprzednie nic nie dały”. Rozkładam ręce w wyrazie bezradności. Ona kiwa głową.

Pacjent wygląda jak ofiara zespołu katatonicznego, ale ten prawie nigdy nie utrzymuje się tak długo. Nie, Andrzej Krawiec nie wygląda jak ofiara choroby, wygląda, jakby to dusza z niego uleciała.

Co teraz? Nie wiem, nie przeszczepię mu duszy.

– Jeśli masz jakiś lepszy pomysł... – Waham się, mam nadzieję, że nie brzmię pasywno-agresywnie. – Daj znać. Ja nie mam.

– Nie, doktorze. Po prostu szkoda...

Pewnie, że szkoda, ale co zrobić? Szkoda mi Andrzeja Krawca, kimkolwiek był, szkoda mi jego pokoju, jego wyżywienia, szkoda mi prądu na ECT. Szkoda mi człowieka bez duszy zamkniętego na dnie tego limbo.

– Dwójka – mówię i wychodzimy. – Kto to był? – Nagle sobie przypominam, więc dodaję: – O nie...

– Syfilik.

– Kurwa!

Dominik Walczyński. Nienawidzę skurwysyna. Trafił do nas na klasyczną obserwację na siedemdziesiąt dwie godziny, zgarnięty z ulicy. Wydawał się niepokojący, co oznacza, że pewnie łąził i krzyczał coś do ludzi. Pierwsze podejrzenie: pijany jak bela, ale wydmuchał zero zero. Przywieźli go tutaj skutego na obserwację. Kolejne podejrzenie: pierdolnięty. Potem wysypka, testy krwi i potwierdzenie – syf, na dodatek w takim stadium, że już przeżarł mózg. Oczywiście wyleczyliśmy syfa, ale na wyżarty mózg lekarstwa nie ma.

Dlaczego nie poszedł do lekarza? Dlaczego się nie leczył? To już zostanie raczej tajemnicą, bo nigdy nie dowiemy się, kim był Dominik, zanim nie zmienił się w zombiaka.

– Wezwę Igora – mówi Iza.

– Pewnie.

Przychodzi Igor. Jest ratownikiem medycznym za dnia, w nocy dorabia jako bramkarz w klubie. Niewiele śpi, niewiele odpoczywa, niewiele mówi. Wiem o nim tylko tyle, że ma żonę i trójkę dzieci. Podejrzewam, że codziennie chodzi na siłownię, żeby utrzymać formę, więc nie sądzę, żeby jego życie towarzyskie, emocjonalne czy jakiegokolwiek było bardzo bogate. Ludzie tacy jak Igor całe życie uczą się trzymać siebie w ryzach, choć marzą o tym, żeby uwolnić maszynę do zabijania, która w nich drzemie.

Patrzę w jego puste, martwe, permanentnie zmęczone oczy i myślę sobie, czy ten potworny Igor kiedyś wygra ze spokojnym Igorem i wtedy trafi tutaj cały ujebrany krwią. A może spokojny pokona potwornego i nastąpi powolny rozkład jego osobowości? Zalegnie przed telewizorem i rozłoży się jeszcze za życia?

Błękitne macki fioletowego oka falują jak porywane prądami oceanicznymi. Ono się do mnie zbliża, czuję to. Mnie taki los nie czeka. Moje potworne ja oraz spokojne ja zostaną pożarte i skończą na dnie żołądka.

Otwieramy drzwi, Igor wchodzi jako pierwszy.

– Kurwo, kurwo, zerżnę cię! Wyrucham cię, kurwo! – krzyczy Dominik na nasz widok. Podskakuje przy tym jak pawian. Macha rękami, udając masturbację i nie wiem, co jeszcze. Rzucanie lassa? Chyba tak.

Mówi się, że głośny pies nie gryzie. Igor jest jak ten drugi pies: namierza cel i idzie na niego jak taran, jak jakaś rakietka M16 czy co tam. Nie wiem, nie znam się na tym.

– Spokojnie, może dziś nie jest niebezpieczny.

Igor stanął przed Dominikiem.

– Kutas, kutas! – krzyczy ten, uciekając.

No i co ja mam tu zrobić?

– Usiądziesz?

– Gówno, gówno!

Boże, za jakie grzechy?

– Siadaj, bo ci upierdolę tego kutasa. – krzyczy tubalnie Igor, groźnie.

Pacjent się trzęsie, siada. Mija tylko sekunda, a jego wzrok pada gdzie indziej. Teraz patrzy na Iżę.

– Chcesz się ruchać, mała? Wyrucham cię w dupę, maleńka, jak nikt nigdy. Ruchasz się, rucham cię, ruchanie.

Iza jest wrażliwa, jest jak kwiatuszek. Przyszła tu zbawiać świat, pewnie z dobrego domu, pewnie miała kochających rodziców. Może chciała iść na medycynę, ale jej nie przyjęli,

a może właśnie chciała być pielęgniarką. Może właśnie chciała być kimś takim. Za co mogła się tak bardzo nienawidzić, że zesłała samotnie do tego piekła?

Coś buczy. To oko. Słyszę jego buczenie, gdzieś z prawej. Czai się, choć przecież nie jest prawdziwe.

Igor robi krok w stronę Dominika, ten się cofa.

– Przepraszam, przepraszam.

– Siadaj. – Igor nie brzmi jak pomoc medyczna, brzmi raczej jak gestapo.

– Tak, tak.

Oho, to ten moment, ten stan. Widzę to po jego oczach. Są teraz spokojniejsze, ruchy mniej nerwowe, bardzo złężnione.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Kim wy jesteście, ludzie? – Dominik się obudził.

– Jesteśmy personelem placówki medycznej, jesteś pacjentem. Robimy obchód – oznajmia Iza.

– Czy... Czy mogę wyjść? – pyta niepewnie. Rozgląda się. Nie zna tego miejsca. Jest przerażony, oczy ma wielkie jak Gargantua.

– Nie. Stanowi pan niebezpieczeństwo dla siebie i innych – odpowiada Iza.

Czuję go, jest jak głos uwięziony w ciemności. Gdzieś tam jego świadomość właśnie się obudziła. Jakieś neurony się zetknęły, ale on jest odłączony od ciała. Nie widzi nas, ledwo nas słyszy. On jest jak mózg Boltzmann'a.

A ja jestem lekarzem i powinienem dążyć do jego wyleczenia, jednak trudno nawet mi na niego patrzeć. Nie lubię, gdy jest w amoku – a jest w nim przez dobre dziewięćdziesiąt procent czasu. Skacze i pierdoli o ruchaniu. Nie lubię, jak się budzi, bo to jest najgorsze. Przez chwilę będzie poprawa, ale to kilka minut, góra kilka godzin. Da nam wszystkim nadzieję, a potem znowu obudzi się ten zły. Jak doktor Jekyll i pan Hyde.

To kurewsko smutne, tak po prostu.

– Wpiszę, że olanzapina daje rokujące efekty – mówię, choć chciałbym stwierdzać. Chciałbym wierzyć, że będzie dobrze. Chcę w to wierzyć.

– Czy ja... Czy ja kiedyś stąd wyjdę?

– Jeśli tylko stwierdzimy, że nie stanowi pan niebezpieczeństwa, to tak, będzie mógł pan wyjść. – Iza stara się promiennie uśmiechnąć, ale ten uśmiech jest trochę martwy, jest jak uśmiech Pan Am.

– Czy teraz stanowią niebezpieczeństwo? – Głos mu się łamie.

– Nie – odpowiadam w ten sposób chyba dlatego, że nie wytrzymuję tego nerwowo. To Iza miała mówić, ja chciałem milczeć. – W twojej chorobie epizody przejaśnienia są rzadkie. Teraz uważamy, że jesteś człowiekiem, którym byłeś. Takie epizody trwają do kilku godzin, powtarzają się co kilka dni. Potem znów zmienisz się w pawiana krzyczącego o ruchaniu.

Jednak poniosły mnie emocje. Darek, kurwa! Opanuj się, jesteś lekarzem. Tym wszystkim ludziom trzeba pomóc.

No trudno, i tak zaraz o wszystkim zapomni.

– Ale... – zaczyna, ale szybko milknie.

Stoimy tak chwilę, może dwie.

– Liczymy, że epizody te będą coraz częstsze i dłuższe... – Chcę naprawić swoje błędy. Nieść to światło. Co z tego, że oko ukwiałów abysalu przeżera mnie na wskroś? Jestem pieprzonym lekarzem, jestem ich jedyną nadzieją.

Dominik nic nie mówi.

– Obserwacje mogą wskazywać na poprawę. – Oczywiście kłamię, bo te na nic nie wskazują.

Zwężają się źrenice, opadają powieki, pogłębiają zmarszczki. Twarz nabiera skurwysyńskiego grymasu.

– Wyrucham cię w dupę, kurwo! – krzyczy.

Kłamałem o tym, że kłamię, bo obserwacje wskazują na regres.

– Dajcie mu coś na uspokojenie – mówię chłodno, wręcz zimno.

Igor chwyta Dominika, podchodzę i pomagam mu przypiąć go do pasów. Ten drze się w niebogłosy. Iza wstrzykuje mu haloperidol, choć przydałby się chloroform. Kiedy Igor zapina ostatni pas wychodzimy.

– Zapraszam do trójki. Igorze, jak już jesteś, zrobisz z nami resztę obchodu?

Kiwa głową. Jest jak Góra z Gry o Tron, ten w fazie zombie. Bez problemu skręciłby mi kark.

– Klaudia Biefuszyk – przypomina mi Iza.

Na łóżku leży szkielet; skóra opina się na mięśniach; widać każdą żyłkę, każdą kość, każde ścięgno, każdy staw. Wygląda jak ten typ z filmu *Siedem*, którego Brad Pitt przykuł do łóżka. Albo ktoś inny, już nie pamiętam.

Jej nikt nie przypiął do łóżka, ona z niego nie wstaje.

– Dzień dobry. Jak się pani czuje? – pytam, patrząc w jej zielone oczy. Ma stary wzrok, jakby przeżyła całe życie, mając zaledwie czternaście lat.

– Doskonale, doktorze – mówi słabo, cicho.

Jest tu od niedawna. Podnosiliśmy już takie, to nie problem. Gorzej z powrotami. Dzieci robią naprawdę pojebane rzeczy dla uwagi.

Sam pamiętam, jak byłem dzieckiem. Chciałem nosić czarne ubrania i szerokie kaptury. Ubierałem się mrocznie i słuchałem mrocznej muzyki. Myślałem o tym, żeby zaimponować, przstraszyć, pokazać, że jestem inny, ale czuć tego akceptację albo chociaż tę akceptację wymusić.

Outsider, samotnik, który wolał gapić się przez okno, wyobrażając sobie, że ludzie na niego patrzą i zastanawiają się, dlaczego jest taki tajemniczy i smutny, jaką historię musi w sercu nosić. Wyobrażałem sobie siebie w wyobraźni innych.

Patrzę w źrenicę w kolorze indygo, która tętni na horyzoncie jaźni.

Żałosne. Dobrze, że się szybko ogarnąłem. Miałem takiego kumpla – kompletny rewers. Przyjechał beemką rodziców; włosy wyżełowane, koszula, kajdan. Bystry, choć inaczej. Kiedyś jaraliśmy blanta na dachu garażu.

– Żeby ludzie w ogóle o tobie myśleli, najpierw muszą cię widzieć – powiedział Tomek. – A ty, Darek, jesteś, kurwa, jak ten typ z *Fantastycznej Czwórki*... albo jego niewidzialna dupa? Nie ma cię i już. Lubię cię, bo jesteś bystry, a na pewno bystrzejszy ode mnie, ale te twoje ubrania, ten cały image, są strasznie przegrywowe. Ubierasz się tak, bo chcesz, żeby ludzie cię widzieli, ale nie widzą cię, bo rzucasz im się w oczy. Strasznie próbujesz. A jeśli kobiety zwracają na ciebie uwagę, to tylko po to, żeby pomyśleć: „Ja go zmienię”.

– Naprawdę tak powiedział? – pyta Angelika znad swojego zmasakrowanego przez sprężynę krocza. Wstaje, podchodzi do mnie. – Naprawdę tak powiedział? Ile mieliście lat?

– Dziewiętnaście – odpowiadam. – To było przed maturami. Dało mi energię do tego, żeby pocisnąć maturę na tyle, że ją zdałem. Sto procent z chemii, dziewięćdziesiąt osiem z biologii.

– Kogo pan próbuje oszukać, panie doktorze? – Jej twarz dzieli od mojej może centymetr. Normalnie czułbym jej oddech na skórze, ale ona nie oddycha. Nie żyje. Nie istnieje.

– Panie doktorze? – odzywa się Iza. – Chyba się pan zamyślił.

– A, tak, tak. – Uśmiecham się. Czy widać, że ten uśmiech jest wymuszony? – Pani Klaudio, trafiła pani do nas przede wszystkim z zaburzeniami odżywiania. Możemy panią podnieść: przytyje pani kilka kilogramów, tak żeby pani waga nie zagrażała pani życiu. Ale niestety tylko od pani będzie zależało, co pani z tym zrobi.

– Zrozumiałam już, że to niebezpieczne, panie doktorze. Właściwie możecie mnie wypuścić nawet i teraz.

Parskam. Nie no, kurwa! Trochę profesjonalizmu, debilu!

– Przepraszam, to od kurzu – odpowiadam. – Oczywiście, pani Klaudio. Pani Izo, fluoksetyna działa. Mamy tu wagę?

Igor robi krok do przodu, wymija mnie i oznajmia:

– Pani Klaudio, zapraszam.

Dziewczyna wstaje, robi krok, staje na wadze. Czterdzieści dwa kilogramy. Tyle ważyłem, kiedy miałem dziesięć lat. Przepięknie.

– Jak przytyje pani do pięćdziesięciu pięciu, to panią wypuścimy.

– Ile? – Patrzy przerażona.

– Pani Izo, jeszcze cyproheptadyna. No i kontynuujemy terapię behawioralno-poznawczą.

Zapisuję to wszystko. Najchętniej dałbym jej blanta. Odpaliłbym jakieś śmieszne gówno i oglądał z nią coś pod kocykiem. Dostałaby colę z cukrem, najbardziej kaloryczne lody, jakie tylko bym znalazł, no i mnóstwo chipsów. Przytuliłbym ją i powiedział: „Jebać piękno, nie jest ono niczym ważnym – życie jest ważne, życie jest piękne”. Że są górskie szczyty, dna oceanów, spadające gwiazdy. Wstęp do Zimy Vivaldiego. A to, jak ktoś cię postrzega, nikogo nie obchodzi. Ważne, żeby po prostu to przeżyć i dobrze się przy tym bawić.

Ale jestem tylko lekarzem – gówno mogę. Jej starzy dali dupy. Starzy wszystkich dali dupy. Wszystkich tutaj.

– Czwórka – rzuca Iza. – Krystian Walczak.

O tak, Krystian Walczak to ciekawa postać. Zdecydowanie oryginał w tym piekle.

– Dzień dobry – mówię, wchodząc.

– Dzień dobry. – Odpowiedź jest tak delikatna i spokojna jak nic innego w tym przybytku. No, może oprócz Marleny.

– Jak się pan dzisiaj czuje, panie Krystianie? – pytam uprzejmie.

Patrzy mi w oczy. Ma jasne, zielone tęczówki; wyglądają trochę, jakby były seledynowe, trochę morskie. Jest cały wydzarany. Ma tatuaże na przedramionach, udach, nawet

genitaliach i pośladkach. Wiem, bo przecież to mój pacjent. Ma też na dłoniach i szyi. Nie ma tylko na twarzy i skalpie.

Na piersi ma siedzącego na wielkim tronie króla w żółtym płaszczu sięgającym aż do ziemi. Ten widok mnie niepokoił – miałem wrażenie, że coś się rusza, choć wiem, że to głupie. Jestem pewny, że to przez wrażenie, jakie zrobili na mnie Chambers i Lovecraft, ale nie mogę przestać o tym myśleć za każdym razem, kiedy to widzę.

A przecież wiem, że to zwykły tatuaż, zresztą nie jeden. Całe jego ciało składa się z semickich albo nordyckich demonów. Każdy uosabia jakieś potworne cechy; jest powykrzywiany i zdeformowany, żądny krwi i zemsty...

...ale tylko ten król w żółci wyglądał, jakby żył.

– Dobrze, panie doktorze, dobrze, dziękuję. Był stolec, nawet taki niezły, powiedziałbym, dobre cztery na siedem. – Uśmiecha się. – Dzień dobry, pani Izo, dzień dobry, panie Igorze.

– Dzień dobry – odpowiadają chórem, jakby to ćwiczyli.

Panuje tu zupełnie inna atmosfera. To oaza na pustyni lamentu. Wszędzie indziej czuć smród smutku, żalu i cierpienia, jeszcze nawet przed wejściem – tutaj tego nie ma. Tu jest ciepło i słonecznie, choć świecą tylko jarzeniówki. Z tych szarych, pustych ścian obitych materiałem biją błękit i zieleń. Krystian jest jak dżin spełniający życzenia, jakby zmienił to miejsce w swój pałac.

Pacjent wstaje i rusza w stronę Izy.

– Temperaturę, pani Izo? – pyta uśmiechnięty.

– Ależ tak! – Jest nim oczarowana, widzę to. – Przepraszam.

– Uśmiecha się nerwowo, ale nie jest to nerwowość, którą widziałem w dwójce, u tego gwałciela. To PTSD tych cel: obeszła reakcja układu przywspółczulnego na chroniczny stres. Zagubienie w reakcji na pozytywny bodziec.

– Panie Krystianie... – zaczynam delikatnie.

– Tak?

– Może już czas do domu? Nie, żebym pana wyganiał. Wie pan, ja to pana lubię, wszyscy pana lubimy. Nawet chciałoby się powiedzieć, że oby więcej takich pacjentów, ale... no wie pan, ja nie wiem, co panu jest.

Pan Krystian zgłosił się do nas sam. Przyszedł i powiedział, że sobie nie radzi. Takich mamy na pięćki. Mimo wszystko od początku wydawał się „normalny”, cokolwiek w tym miejscu miałyby to znaczyć.

– Panie doktorze, nie wiem, czy jestem gotowy. Jeszcze go nie znalazłem.

Sens życia. Szuka sensu życia.

– Są inne miejsca.

– Musiałbym mieć pieniądze.

Pan Krystian przyszedł z nietypowym powodem: zabił się jego przyjaciel. Przyjaciel, którego Krystian oszukał na pieniądze. Może go wygryzł ze stanowiska w korporacji, może podsunął mu jakąś niekorzystną umowę, tego nie powiedział. Prawdopodobnie trafił na zły moment w życiu chłopaka. Może i ten przyjaciel by się nie zabił dlatego, że został oszukany, ale niemal na pewno zabił się po tym, jak stracił przyjaciela.

Krystian zyskał niewiele; chciwość zabrała mu przyjaciela, a wraz z nim chęć życia. Rozdał wszystko, co miał, i zgłosił się do ośrodka.

– Mammon chciałby, żebym miał pieniądze. – Pan przecież wie, doktorze.

Ten król w żółci na jego torsie to właśnie Mammon, którego Krystian na sesjach nazywał „najgorszym z demonów”. Mammon nie jest królem, ale mógłby nim zostać. Nie jest generałem, nie jest dowódcą czy kimkolwiek, ale mógłby nim być. Nie jest, bo zależy mu na czymś innym: na hajsie. Inne demony Krystian tatuował sobie lata temu, uważał, że to fajne, zresztą wiele osób uważa tak dalej. Brzydzi się swojego ciała nie mniej niż dziewczyna z trójki; ale ta ma czternaście

lat, może przytyć, pokochać siebie i być normalna. Krystian ma trzydzieści trzy lata i po prostu się siebie brzydzi. Patrzy na króla w żółci nakazującego mu zamordować swojego przyjaciela dla pieniędzy.

Krystian siedzi tu, bo boi się pieniędzy.

– Może klasztor? – sugeruje nagle Igor.

– Słucham? – Krystian patrzy zaskoczony.

– Może trzeba wstąpić do klasztoru. Kiedyś był taki film, oni tam sadzili marchew.

Asterix i Obelix?

– A tak, ze starym Stuhrem – informuję. – Jakoś się on nazywał... Szklana pogoda? Coś takiego mi się kojarzy. – Patrę na Izę, ale ona jest chyba zbyt młoda, żeby pamiętać.

– Pogoda na jutro – podpowiada Krystian. – To miałoby sens. Przemysłu to. Dziękuję, panie Igorze.

Zapada cisza. Mija dobre kilka sekund.

– No dobra, panu Krystianowi nic nie przepisujemy.

– Tak jest – odpowiada Iza.

– Do widzenia. – Wychodzę z pokoju.

– Do widzenia – odpowiada Krystian.

– Do widzenia – mówi Iza.

– Do widzenia – mówi Igor.

Wychodzimy na korytarz.

– Piątka. – Uśmiewam się uprzejmie do Izy.

Ta wyciąga rękę.

Ja pierdolę.

Przybijam jej piątkę. Ruszamy do pokoju numer pięć.

– Ojej! – mówi nagle Iza.

Najwyraźniej zdała sobie sprawę, że wyszła na idiotkę, ale to nie ma znaczenia. Czy wyszła, czy nie wyszła, do jutra i tak o tym zapomnę. A Igor? Chuj wie, czy on w ogóle o czymkolwiek myśli.

– Tymon Kilian – mówi Iza.

– Kto?

– Adam Warzecha – oznajmia beznamiętnie, jakby powtarzała słowa, które już padły.

Po plecach przebiegają mi ciarki, a ukwiatowe macki falują radośnie w ich rytm. Po twarzy spływa mi kropla potu. Przede mną staje czujny Igor. Otwiera drzwi i wchodzi pierwszy.

Kurwa, tego też nienawidzę. Kolejny krąg piekieł, tym razem gniew.

– Skurwysynu, rozerwę cię na strzępy! Rozpierzdołę cię, kurwo! Słyszysz?! Rozpierzdołę!

No tak, Adam Warzecha. Szczerze? Nie wiem, co mu jest. Może ma bordera połączanego z narcyzmem, może zaburzenia kontroli impulsów albo obsesyjno-kompulsywne i jakieś schizofreniczne majaki, które mu pokazują wiszące krzywo obrazy, ułożone krzywo sztuce, poprzekręcane wykałaczki, czy co tam go odpala.

– Uspokoisz się, kurwo, czy nie?! – pyta Igor istic stadionowym głosem. – Uspokoisz się, kurwo? Pan doktor przyszedł.

– Jak się pan czuje? – pytam.

Mężczyzna przypięty do łóżka miota się i wyrывa. Kajdany to się napinają, to luzują; chce się na nas rzucić, rozerwać na strzępy.

– Kurwaaa! Zabiję was, kurwaaa!

Coś mi to przypomina, może jakąś aktorkę.

– Uspokoisz się? – Góra mięśni staje nad nim.

– Pani Izo, temperatura?

Iza przykłada pistolet do czoła, Warzecha macha głową, wyrывa się, więc mija chwila.

– Podwyższona. Trzydzieści siedem i dwa.

Zapisuję.

– Śmierdzi? – pytam.

On się szamocze, wyzywa nas, grozi. Marzy o morderstwie. Iżę to przeraża, krępuje. Ona jest jak Bambi, niewinna i bezbronna, szczególnie w takich sytuacjach. Chce zbawiać tych

ludzi, leczyć, ale czuje wyłącznie paraliżujący strach. A paraliżujący strach, niemoc, brak poczucia wpływu na własne życie – to bóg wszystkich tutaj. Każda depresja, każde zaburzenie, każdy brak wiary w siebie zaczyna się właśnie od braku poczucia wpływu na swoje życie. Ona jest jak jagnię, które dobrowolnie idzie na rzeź, żeby udowodnić wszystkim, że ostrza można zmienić.

Każdy border czy schizofrenik przede wszystkim zaczyna od tego, że jest liściem na wietrze swojego życia.

– Kurwa, zapierdołę cię! Wszystkich was zapierdołę!

Dlatego teraz Iza ma go, kurwa, badać. Niech wie, że może się bać i działać; że odwaga to działać podczas sztormu, walczyć, kiedy innych wiąże lęk.

– Nie, nie czuję – odpowiada. – A nie, czuję. Zesrał się.

– Haloperidol. Igor, pozwól Izie poradzić sobie samej. – Gdy ta patrzy na mnie przerażona, patrzę jej prosto w oczy i dodaje: – Dasz radę.

Wyciąga igłę i przebija skórę w akompaniamencie bluzgów, wyzwisk i gróźb. Waha się, celuje, w końcu szybkim ruchem wbija ją w udo.

– Ty kurwo jebana.

– Wychodzimy – mówię.

No, to szóstka była, więc teraz pacjent numer siedem.

– Oczywiście wszystkim kroplóweczki – nakazuję. – Nieprzytomni, anorektyczka i nieobecny.

– Oczywiście – potakuje Iza.

– Dobrze się spisałaś.

– Dziękuję – odpowiada po dłuższej chwili.

– Masz w sobie dobro, którego ci zazdroszczę. Wahalaś się przy Warzeche... Warzesze? No, w piątce, ale wszystko zrobiłaś sama. Gdyby nas tam nie było, też dałabyś sobie radę.

– Dziękuję – powtarza, ale już bez namysłu. – W siódemce Aneta Kowalska...

Cholera, dziwne. Czy ona powiedziała „Angelika”?

– Dzień dobry – mówię, wchodząc do pokoju.

– Dzień dobry – odpowiada słabo dziewczyna. Wstaje i kłania się lekko, patrząc na nas. Ma zimne oczy, jakby wodniste, rozwodnione, mętne, pełne smutku, żalu, pustki. Oprócz tego ma krwawą, fioletową pręgę na szyi.

Angelika leży. Widzę ją w trumnie, ma fioletową pręgę na szyi. Skóra biała, usta sine. W zaciśniętych palcach trzyma bukiet zwiędłych kwiatów. Obok stoi Adaś. Co się stało z Leonem? Kto się nią zajmuje? Kto się zajmuje moim synem?

Błękitne oko faluje ukwiałowymi wypustkami. Wbija we mnie spojrzenie złotej źrenicy, czuję, że pali żywym ogniem. Wyżera moją duszę, mieli na proch, wchłania. Tysiące zębów otaczają źrenicę niczym aureola. Tysiące pieprzonych kłów.

Opanuj się. Opanuj!

Jesteśmy w psychiatryku, na obchodzie.

– Wszystko w porządku? – Patrzę na nią i obserwuję, czy przejawia jakieś oznaki niepokoju. Jednocześnie kiwam głową w stronę Izy. – Pani Izo, zmierz panie temperaturę?

– Oczywiście, panie doktorze.

To mnie ogarnia niepokój i tysiące pytań.

Iza idzie. Jej kroki dają mi chwilę na przemyślenia, ale czy to dobra chwila? Pożyteczna? Może zgubna, straszna chwila, która ryje banie, wszystko miesza, ale... ale kim ja właściwie jestem? Napływają miliardy wspomnień świata zza tego miejsca.

Kim ja jestem?

Patrzę na swoje dłonie.

„Angelika?” – myślę, patrząc na Anetę.

Czuję nadchodzące drgania mojego ciała, a wraz z nimi oceany pytań. Czy moja żona Angelika nie żyje? Kiedy się to stało? Co z moją córką Marysią? Czy może to wszystko majaki? Może ona nigdy nie istniała? Ale jak często moge

brać **Pronowateron**? Łapię za fiolkę w kieszeni. Jak często muszę brać **Pronowateron**?!

Ogłuszający huk płonącego słońca i złotej żrenicy wbijającej się we mnie w towarzystwie błękitnych parzydełek.

Czym to jest? Czym jest to miejsce? Czy to nadal miejsce mojej pracy? Czy to jakieś piekło? Boże święty, a chciałem tylko pomagać ludziom!

– Nie umrzesz tutaj – mówi Angelika. To moja żona, włosy spływają jej po ramionach. Stoi przede mną naga. Jest sina, ma fioletową pręgę na szyi i sine usta. Stoi w łazience, przy wannie. Po prawej prysznic, po lewej zlew. – Nie umrzesz tutaj, Darek. Będziesz żyć wiecznie. Tylko chciałeś pomagać ludziom? Masz kompleks mesjasza, boga, chcesz dowartościowywać się tym, że masz nad nimi władzę. Jesteś od tego uzależniony. Uzależniony od myśli, że jesteś Atlasem dźwigającym na swoich barkach ludzkość, że ci wszyscy ludzie mogą na tobie polegać, że jesteś ich ratunkiem. Co się kryje za twoją bezinteresownością? Co się kryje za twoim altruizmem?

Znika. Znów jestem w szpitalnej sali.

– Trzydzieści sześć i cztery, panie doktorze – mówi Iza.

– Zapisuję, że w normie. Później zapraszam na psychoterapię. W razie czego jesteście. – Uśmiecham się do niej, do Anety.

Ten uśmiech jest ważny, prawie najważniejszy. Jest gestem zadowolenia, jest jak „dzień dobry”.

„Dzień dobry” to powitanie, ale po co w ogóle się witamy? Chodzi o komunikację, o to, żeby jasno pokazać: „Jestem tutaj, mówię o tym głośno, żeby cię nie zaskoczyć. Widzę cię, widzisz mnie, teraz możemy przejść”. „Dzień dobry” jest też życzeniem podkreślającym moje zamiary: „Nie dość, że cię widzę i informuję o tym, że jestem to jeszcze informuję, że mam dobre intencje – życzę ci dobrego dnia”. Innymi słowy: oznacza, że „twoje otoczenie się zmieniło, ale wszystko jest w porządku”.

To samo oznacza uśmiech. Nie chodzi o jego jakiś specjalny wyraz; chodzi przede wszystkim o „patrz, jestem zadowolony, to oznacza, że możesz czuć się bezpiecznie, też możesz czuć się zadowolony, zadowolona”.

Więc uśmiecham się do niej.

Zmiany w naszym życiu są bardzo ważne. Żeby zrozumieć, jak działa człowiek, trzeba uświadomić sobie jedną rzecz – wszystko to informacja, którą dostajemy. Gdy się rodzimy, bombarduje nas miliard bodźców, które nieustannie dzwonią w naszych małych, nieprzygotowanych mózgach. Całe nasze ciało, każdy zmysł, każda informacja dzwoni jak powiadomienia z Messengera albo gorzej – jak połączenie z Messengera z prośbą o włączenie kamerki. Dlatego dzieci płaczą.

Potem nasz mózg stara się wyłączyć te najbardziej powtarzalne wzorce, gdy już uzna je za niegroźne, bo niezmienne; to na przykład, nie wiem, tkliwość nadnerczy, o ile coś takiego istnieje. Pewnie nawet azot ma zapach, ale do niego się przyzwyczajamy. Gorzej ze zmysłami; organizm musi się nauczyć, że tam bodźce są nieustannie zmienne, że to źródło informacji. Oczywiście robi metodą prób i błędów. Pojawia się matka – jej zapach, wygląd, ciepło, miękkość i, co najważniejsze, jedzenie. Niedaleko jest też ojciec, choć on dopiero później zaczyna kojarzyć się z bezpieczeństwem.

Każda nowa rzecz wywołuje obawy lub ekscytację, każda znajoma – spokój. Wszystko, co stałe, jest dla nas dobre; wszystko, co nowe, jest dla nas potencjalnie złe. Dlatego ludzie słuchają Taylor Swift i disco polo, kochają uśmiechy, czczą „dzień dobry”, kocyki i ciepłe kakao.

Nasz mózg jednak ma swoje ograniczenia, a już w szczególności podczas komunikacji z naszą świadomością, więc robi to emocjami. Dlatego uśmiecham się do... do Anety. Tak, do Anety. Chciałbym, żeby wyszła stąd szczęśliwa i nigdy

więcej nie próbowała się zabić. Ja się uśmiecham, a ona czuje spokój. Przynajmniej w teorii.

– Wolałbym tu panią zatrzymać na co najmniej kilka tygodni. Niech pani odpocznie, zapomni o troskach. Dodatkowo zlecimy wzmożoną psychoterapię.

– Wolałabym wyjść wcześniej.

– Rozumiem, ale to niemożliwe. Do widzenia. – Wychodzę, po czym informuję Izę: – Obserwować. Jeśli będzie chciała, to oczywiście będziemy musieli ją wypuścić, ale wolałbym ją tu zatrzymać. Niech sobie odpocznie; psychoterapia może pomóc, a i zapomniaby o problemach. Oczywiście to zapisuję.

– Tak jest, panie doktorze.

– No, ale jak będzie czuła się tu więźniem, to nic dobrego dla niej – dopowiadam. Słyszę dźwięk zamykanych drzwi. – Kto następny?

– Szymon Łach, pokój numer osiem – odpowiada mi głos Marleny.

Przez chwilę patrzę na Izę.

– Coś się stało, panie doktorze? – pyta.

– Nie, wybacz. Coś mi się wydawało. Idziemy?

Wchodzimy do ósemki. Szymon to sudafedowy dzieciak. Naczytał się w internecie o tym, jak robić w domu amfetaminę z pseudoefedryny. W Monarach już od dawna dzieci są nazywane od leku na przeziębienie.

Szymon ma szesnaście lat. Znając życie, dostał ksywę „Chemik”, teraz pewnie już go tak nie nazywają. W garażu czy gdzie tam prawdopodobnie ekstrahował najczystsza amfetaminę wśród swoich kolegów, bo teraz jest w najgorszym stanie. Podejrzewam, że zaczęło się od eksperymentu, potem dorabiania do kieszonkowego, a jeszcze potem go wciągnęło. Dostał zawału, ale w stanie był już naprawdę złym. Przeleżał tydzień w śpiączce, zdiagnozowano u niego rabdomyolizę. Miał objawy lekkiego udaru mózgu, niewydolności

nerek i tak dalej. Ale gorzej było, kiedy się obudził. Nie dość, że niepełnosprawny, to jeszcze z zaburzeniami.

Takich przypadków trochę jest, chociaż nie aż tak wiele, jak mogłoby się wydawać. Szymon teraz próbował się zabić, podobnie jak dziewczyna z siódemki, a przystojny był z niego chłopiec. Spróbuje znowu, to na pewno.

Nienawidzi siebie, swojej głupoty, swoich błędów; tego, że życie, jakie znał, *de facto* się skończyło, a on ponosi za to największą odpowiedzialność. Sam sobie zgotował to piekło – pewnie kupował Givenchy za wyprodukowaną chałupniczo śmierć.

Niestety – a może stety? – naszym zadaniem jest chronić życie za wszelką cenę. Szymon nie różni się specjalnie od debili skaczących na główkę czy debili jeżdżących sto dziewięćdziesiąt po mieście miesiąc po przyklepaniu im dwudziestego zakazu prowadzenia pojazdów.

Ot – życie. Raz jest, raz nie.

Teraz Szymon leży w łóżku. Nie przywiązujemy go, jest zbyt słaby, żeby cokolwiek zrobić. Potężne drgawki, które przechodziły jego ciało, doprowadziły do prawie całkowitego zniszczenia jego mięśni

– Jak się dzisiaj czujesz? – pytam. Obok mnie stoi Iza.

– Chujowo.

No i co mam mu powiedzieć? Że niech się cieszy, że żyje?

– A ty się cieszysz, że żyjesz? – Miętkość jej palców zaciska się na moich ramionach, upuszczając ze mnie kortyzol. Zalewają mnie oksytocyna, dopamina, serotonina.

– Przy tobie zawsze – odpowiadam i obejmuję ją talii, Angelikę. Patrzę jej w oczy. Są czarne jak smoła. Jak soczewki kontaktowe, jak oczy Yolandi Visser w *I Fink U Freeky*.

Całuję ją w usta, ale się odsuwa.

– Jak mogłeś całe życie pomagać obcym ludziom, a nie zauważyć swojej żony? – pyta Angelika.

– Tak za tobą tęsknię. Boże, tak za tobą tęsknię. – Łzy wypływają mi spod powiek, płyną po policzkach. Czuje pozostawioną przez nie wilgoć. Czuje, jak rozbryzgują się na podłodze. Słyszę ich kapanie.

– Trzeba było o mnie dbać – odpowiada smutno. – Marlena była tego warta?

Chcę, żeby tu została. Chcę, żeby została na zawsze.

– Jestem tuż za ścianą. Na zawsze – odpowiada na moje myśli.

– Gdzie?

Ogłuszający huk, szum, jakby tysiące wodospadów rozbiło się o moją głowę. Błękitne oko, świecące złotym płomieniem, tańczy pośród fioletowych parzydełek. Patrzy na mnie. Pożera wzrokiem.

Pustka, czerń. Psychiatryk. Sala obita poduszkami.

– Jak się czujesz? – pytam. Słyszę, że mój głos się trzęsie. Drży też uchwyt klipsowy z kartkami, trzęsie się długopis.

– Srałem, więc lepiej – odpowiada dzieciak.

– Zmierzy mu pani temperaturę? – pytam, biorąc wdech.

– Oczywiście, doktorze. – Marlena uśmiecha się zalotnie. Rusza w kierunku dzieciaka. Przykłada mu ten śmieszny biały pistolet. – W normie.

Tu jest Marlena, nie Iza? Rozglądam się. Cholera, przynąłem? A gdzie Igor? Boże, jakbym stracił wizję! Wszystko wydaje się takie mroczne, szare. Wiem, że to wyrzuty kortyzolu, ale nie mogę się rozejrzeć, niczego dojrzeć – jakby to łóżko, ten dzieciak i Marlena to były jedyne rzeczy na świecie.

Czuje ból w barkach, to pewnie ze stresu. Mam wrażenie, że kortyzolowe imadła miażdżą mi obojczyki. Reakcja „uciekaj albo walcz”, ale nie mogę ani uciekać, ani nie mam z czym walczyć.

Kurwa, muszę wypić jakąś meliskę albo coś takiego, bo mi odpierdala.

– Dobra dupa z niej, nie, doktorze? – pyta Szymon; głos ma chamski głos, wręcz cwaniacki. To głos dzieciaka w fullcapie

i bluzie z kapturem, któremu starzy przepisali mieszkanie na komunię. Mówi jak te gnoje z mojego osiedla.

– Słucham?

– Dobra dupa z tej Marleny, co? – powtarza, patrząc mi prosto w oczy. – Grzechu warta, nie ma co.

Chyba śnię, mam wrażenie, że jego tęczęwki są złote, jakby świeciły, są jak... Nie, nie, nie. Muszę stąd wyjść, muszę stąd wyjść, muszę stąd uciec!

Nie! Nie uciekaj! Zachowaj twarz, po prostu wyjdź!

– Dobra, pani... – Marleno czy Izo? Kurwa! Nie kończę. Kolejna informacja zakolejkowana, kolejna dyspozycja. – Chodźmy do dziewiątki.

Ruszam do drzwi. Obraz mi się chybcze. Wszystko zalewa czarna maź; nad horyzontem percepcji unosi się wielkie świecące złote oko, tańczące pośród ukwiałów. A ja jestem jak ten błaznek w sercu otchłani.

– Jesteśmy w dziewiątce – odpowiada Marlena.

Co?

Pisk, ból, ciśnienie, jakby mi rozrywało klatkę. Serce wali młotem. Jebany atak paniki. Wyjdę tylko na korytarz i będzie w porządku. Wszystko drży, trzęsie się. Moje mięśnie zaciągają się samoczynnie, rozluźniają, mam ochotę się trząść. Jestem jak ten Szymon Łach.

– Policz poduszki na ścianach – mówię sobie. Jedna, druga, trzecia, szósta. Szum, szum tysięcy oceanów. Miażdżą mnie swoją głębią, stoję w Rowie Mariańskim. Ogień pożerający moją duszę. Czarna maź zalewa mi kolana.

Nie ufaj zmysłom, ufaj prawdopodobieństwu. Nie toniemy, nie toniemy w szlamie z piekła. Nie pożera nas otchłań. To normalny szpital. Wróć do domu, wróć do Ange-
liki, wróć do Marysi. Wezmę Pronowateron, oko zniknie. Ból zniknie. Głosy ustaną.

Wszystko będzie normalne.

– Dokąd idziesz? Już mnie nie kochasz? – pyta Marlena.

Odwracam się do niej. Łóżko Szymona już jest pod szlaniem, sam Szymon się dusi, wyrывa, ale jego nieporadne mięśnie sobie nie radzą. Stoimy po pas w starej krwi, gównie, rdzy, kurwa, nie wiem. Nie wiem, co to jest!

– Już mnie nie kochasz?

– Gdzie jest Iza? Co się stało z Izą?

– Ją też chcesz ruchać?

Drzwi. Numer dziewięć wydrapany, wypalony, wyżarty na drzwiach. Stoję w pomieszczeniu wyłożonym poduszkami. Białe poduszki, biały puch, śnieg, lód wżerający się w moje żyły, ścierający moją skórę, trzeszczący i łamiący moje kości. Prasujący mnie na miast.

Chowam twarz w dłoniach, grzebię się w czarnej mazi, w ukropie z naszych dusz. Nie tonę, nie krztuszę się jak Szymon. Ja mogę w niej oddychać – to część mnie. Ten Kocyt to ja. Nie chodzi o to, chodzi o ten ból, który mnie rozrywa, który paraliżuje. Jest jak miliardy szerszeni wędrujących moim krwioobiegiem.

– Boże, nie, to nieprawda! – słyszę swój głos.

– Ale tu nie ma Boga, żadnego, nigdzie, nie dla ciebie – odpowiada mi głos...

...ale czyj głos? Może Angeliki Kowalskiej-Morszczuk, może Marleny, może mój własny, a może halucynacji. Może głos wielkich oczu przepalających moją duszę swoim wzrokiem?

Pronowateron!

Moja skóra jest jak pergamin, kości są jak szkło. Pękają przy każdym ruchu, rozsypując się, jakbym był szmatą wypełnioną trocinami.

– Szymon mówi: leż! – krzyczy dzieciak, a ja padam na ziemię.

Podłoga jest zimna, twarda. Pustka. Nie ma tu nic. Jestem tylko ja i nieskończoność poduszek zdobiących sufit dziewiątki.

Pustka i potworne zębiska, które mnie ścinają, miażdżą, sprasowują.

Nie, proszę, nie!

Nie mogę nic mówić, moje płuca, są zniszczone, przeżarte. Moja żuchwa sprasowana, usta stały się krwawą papką.

Dlaczego nie umieram?

Dlaczego nie umieram?!

– Szymon mówi: wstań! – nakazuje dzieciak, a ja stoję.

Stoję w łazience psychiatryka, patrzę na siebie w lustrze. Jestem nagi. Dlaczego jestem nagi? Jestem wychudzony, zdeformowany, zniszczony. Kości wystają mi przez skórę, wyglądam jak ten dzieciak: powyginany, nieskładny, zdefragmentowany, porażony.

Podnoszę fiolkę do ust. Przechylam, zapijam wodą.

– Kurwa! – mówię do siebie, łkam do siebie, wyję, padając na kolana. Ocieram dłonią twarz.

Marlena stoi nade mną. Za mną, odbija się w lustrze, chociaż ja nawet tam nie patrzę. Boję się, że to wszystko nie jest złudzeniem, że to wszystko prawda.

– Dobrze się czujesz – mówi, ale nie pyta, po prostu oznajmia swoją obecność.

Motywuje mnie, nakłania, może trochę zmusza do tego, żebym wstał i się ogarnął. Jestem ich jedyną nadzieją! Nie mogę się poddać! Jestem ich przedmurzem, za mną nie ma już nic. Są tylko złote oczy, błękitne ukwiały i ludzie-błazenki.

– Dobrze się czujesz – ponagla.

Pewnie poszła na pielęgniarstwo, żeby leczyć ludzi, pomagać im. Teraz ma zimne oczy człowieka, który widzi w innych tylko numerki. Widzi problemy do rozwiązania. Szanse i ich brak, nadzieje i beznadzieje. Marlena jest moim największym wsparciem, jest nie do zdarcia. Zawsze mogę na nią liczyć.

Patrzę w lustro, nasze spojrzenia się spotykają. Ma zimne,
smutne, błękitne, jakby nieco lisie oczy, które widziały już
wiele. Nie takie jak piwne, migdałowe oczy mojej Angeliki.

